



precedens

Zabrzmiały trzykrotnie fanfary i zasłona z napisem „50 lat Clarence Hall 1940-1990” rozsunała się na boki. W ostrym świetle reflektorów stanął szczupły mężczyzna w rogowych okularach. Błysnął zębami i skierował rękę w stronę kulis.

- Doktor Uniwersytetu Wiedeńskiego, człowiek, który przywołuje przeszłość - zawiesił głos - John Cornelius Reyburn.

Gromkie oklaski i parę gwizdów poprzedziły szpakowatego mężczyznę w ciemnym, aksamitnym garniturze. Zatrzymał się obok młodzieńca i bez słowa, przykładając dłoń do piersi skłonił się widowni. Sala ponownie zatrzęsa się od oklasków.

- Aby nie tracić czasu, proponuję już teraz wybrać pierwszą osobę - młodzieniec uniósł obydwie dłonie ku górze - Kto z państwa zechce poznać swoje poprzednie wcielenie?

Każda z co najmniej stu osób uśmiechając się niepewnie zaczęła zerkać na sąsiadów. Reyburn powiódł wzrokiem po rzędach. Z przyjemnością mógł stwierdzić, że wszystkie miejsca są zajęte.

- Jest to hipnoza oparta na najnowszych osiągnięciach współczesnej psychologii, potwierdzona badaniami w amerykańskich ośrodkach. Nie ma się czego obawiać.

Sądząc po donośności głosu pomocnik Reyburna mógł równie dobrze zrezygnować z mikrofonu. Wyciągnął palec przed siebie.

- A może pan?! Widzę, że ma pan ochotę.

Mężczyzna w pierwszym rzędzie przestał szeptać do partnerki i zamachał rozpaczliwie rękami.

- To może pani?

Kobieta poklepała swego towarzysza po ramieniu i uśmiechając się wstała.

- Ja z chęcią.

- Brawo! - pomocnik Reyburna uniósł ręce nad głowę - Wspaniale! Mamy pierwszą odważną.

Z gracją podbiegł do schodów prowadzących na estradę.

- Teraz każdy widzi, że panie są najodważniejsze - ujął kobietę pod ramię - Wstydziłibyście się panowie.

Z sali odpowiedziały mu brawa.

- Och... - kobieta stanęła w świetle lamp - Chyba pan przesadza, panie...

- Mahoney - młodzieniec wskazał na wciąż stojącego nieruchomo Reyburna - Asystent człowieka, który przywróci pani najodleglejsze wspomnienia. Zgadza się pani?

Kobieta potrząsnęła utapirowaną fryzurą.

- Tak. Oczywiście.

Mahoney spojrział jakby z szacunkiem, a potem gwałtownym ruchem zwrócił się do widowni.

- Szanowni państwo, proszę obecnie o zachowanie ciszy i stanu najwyższego skupienia. To pomoże doktorowi wprowadzić pacjenta w trans hipnotyczny.

Światło przygasło i ciche rozmowy przeszły w niewyraźne pomruki. Reyburn posuwistym krokiem zbliżył się do kobiety. Twaz miał nieruchomą, jedynie oczy wodziły po zakrytych pudrem rysach. Raptem gwałtownym ruchem wyciągnął obydwie dłonie przed siebie, spod jednej wysunął się i zawisł na łańcuszku błyszczący wisiołek.

- Jeśli chce pani mi pomóc - odezwał się cichy szept Reyburna - to proszę o niczym nie myśleć i patrzeć na wahadełko.

Kobieta skinęła głową i poczęła śledzić wolne ruchy srebrnej kulki. Mahoney mrużąc oczy usunął się w cień. Nikt nie zwracał na niego uwagi, spojrzenia ogniskowały się na stojącej w pełnym świetle parze. Z pewnym odcieniem zawodu przyglądał się postaciom na sali. Ich twarze i ubiory świadczyły, że należą raczej do niższych sfer.

Specyficzny sposób, w jaki ludzie poruszyli się w fotelach sprawił, że odwrócił głowę. Kobieta na estradzie lekko, z wpółzamkniętymi oczami kiwała się w miejscu.

- Czy słyszy mnie pani? - spytał Reyburn.

- Tak - odpowiedziała.

Srebrny wisiołek zniknął w kieszeni mężczyzny. Ponownie wyciągnął dłonie ku kobiecie.

- Ma pani dwadzieścia lat, słyszy pani? - powiedział z naciskiem - dwadzieścia.

- Słyszę - z ust kobiety dobiegł cichy, nieśmiały głos.

- Gdzie pani jest, co pani robi?

Sala zaszemrała, lecz zaraz umilkła chciwie łowiąc kolejną odpowiedź.

- Uciekłam z lekcji, panna Crespin będzie wściekła - zachichotała - diabelnie wściekła... ale umówiłam się z Edwardem.

Mówiąc przestępowała z nogi na nogę. Robiła to tak zabawnie, iż Mahoney nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu.

- Dlaczego uciekała? - głos Reyburna był ciepły, budzący zaufanie.

- Idziemy na film z Humphreym Bogartem - zniżyła głos do szeptu - on jest boski.

Palce Reyburna drżały koło jej twarzy, niemal dotykając skóry.

- Masz, dziesięć lat - powiedział - Dziesięć, co widzisz?

Wszyscy tego oczekiwali, a mimo to zadygotali z przejęcia słysząc głos kobiety - był piskliwy, jak u dziecka.

- On jest duży i czerwony, taki cudowny...

Mężczyźnie w pierwszym rzędzie program zsunął się na podłogę.

- O kim mówisz dziecko?

Kobieta rozchyliła usta w nienaturalnym uśmiechu.

- O Mikołaju, to przecież Boże Narodzenie.

Reyburn niedostrzegalnym ruchem unosił głowę i Mahoney dwoma miękkimi krokami znalazł się przy mikrofonie.

- Szanowni państwo - zaszeptał delikatnie obejmując statyw. - Teraz proszę o najwyższą uwagę. Doktor Reyburn cofnie panią do jej poprzedniego wcielenia. Będziemy mogli wszyscy, tu i teraz, dojrzeć jej najgłębszą przeszłość.

Ponownie schował się w cieniu. Reyburn wyczekał, aż umilkną ostatnie szepty i ponownie wznosił dłonie.

- Jest rok tysiąc dziewięćset szesnasty - wypowiedział kamiennym głosem - Rok zanim narodziła się ta, którą stałaś się później. Kim jesteś, jak się nazywasz?

Na sali zapadła cisza, zmacona jedynie czymś ciężkim oddechem. Dopiero po chwili Mahoney uświadomił sobie źródło tego dźwięku.

- Carnot - wychrypiała kobieta - Jami Carnot.

Głosy ludzi zawirowały w powietrzu, lecz momentalnie umilkły. Wypowiedziane słowa nie mogły należeć do tej przyzwyczajonej, aby nie rzec szacownie wyglądającej kobiety.

- Kim jesteś?

Grymas wściekłości wykrzywił jej twarz.

- A co ci do tego?

Reyburn nawet nie drgnął.

- Kim jesteś? - powtórzył o ton głośniejsze.

Kobieta z sykiem wciągnęła powietrze.

- Pielęgniarką, w lazarecie.

- Jakim?

- Angielskim - kobieta niemal warknęła swym niskim, nieprzyjemnym głosem - Pytasz tak samo głupio jak te żabojady.

Reyburn objechał palcami owal jej twarzy.

- Czy praca sprawia ci przyjemność?

Kobieta splunęła na podłogę.

- Rzygać się chce. Smród, powykrzywiane gęby, a oni ciągle zwożą nowych z frontu.

Mahoney widział, że ludzie z dalszych rzędów, aż wspinają się na oparcia, aby lepiej widzieć.

- To dlaczego tu pracujesz?

Śmiech kobiety był obrzydliwy.

- Myślisz, że jak komuś rozwalilo łeb, czy urwało rękę, to nie ma na to ochoty? Nic za darmo... - znowu zachrypiała śmiechem - Z jednego dyżuru w nocy można z cztery dychy zarobić.

Twierz Reyburna była pełna smutku.

- Przecież to może kosztować czyjeś życie.

Wzruszyła ramionami.

- Jasne, że może. Ale nie rozstanę się z klientem tylko dlatego, że ktoś z boku rzęzi i coś tam chce.

Głowa Reyburna pochyliła się jakby w geście boleści.

– Wystarczy – powiedział – Proszę się obudzić.

Kobieta zachwiała się na nogach i gdyby nie szybka reakcja Mahoneya pewnie by upadła. Na sali zalegała potworna ciżba, nagle rozległy się czyjeś brawa, potem następne. W asyście potężnego aplauzu Mahoney odprowadził kobietę do zejścia. Chwiejąc się poszła dalej sama. Wyglądała na ledwie przytomną.

– Szanowni państwo – Mahoney ponownie uniósł ręce nad głowę – Kto następny?

★

Reyburn nie spał już od pół godziny, wierząc się w hotelowym łóżku. Mimo grubych kotar światło popołudnia przedostające się do pokoju zmuszało do zakrywania głowy kołdrą. Był jednak zbyt rozleniwiony, aby wstać i sprawdzić chociażby, co to za wrzaski dobiegają z hotelowego podjazdu. Z trzaskiem otworzyły się drzwi.

– Wstawaj – powiedział Mahoney takim tonem, że Reyburn zaraz wysunął głowę.

Jego pomocnik przeszedł pokój, rozsunął kotary i silnym pchnięciem otworzył okno. Skandowane z dołu okrzyki nasiliły się.

– Czy ty nie robisz się zbyt bezczelny? – spytał Reyburn mrużąc oczy.

Mahoney odwrócił się do niego i wyjął trzymany dotąd pod pachą plik gazet.

– Ci za oknem chcą twojej głowy, tym... – potrząsała papierami – chodzi w gruncie rzeczy o to samo.

Reyburn usiadł na łóżku.

– Zwariowałaś?

– Masz – dzienniki spadły na pościel – „The Sun”, „Daily Mirror”, „Daily Telegraph”, „Morning Star”. Wszędzie to samo: dręczona wyrzutami kobieta popełnia samobójstwo.

Zaczerwienione powieki Reyburna śledziły chwilę nagłówek. Z szelestem odsunął płachtę gazet.

– Do jasnej cholery – powiedział – Po co ta arystokratyczna dziwka przyszła na nasz show?

Mahoney sięgnął po jedną z gazet.

– Lady Eleonora Webb gustowała w pospolitych rozrywkach, często w tajemnicy przed najbliższymi udawała się na przedstawienia najrozmaitszych szarlatańców i hochsztaplerów – zacytował i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

Reyburn odrzucił kołdrę. Zaczął spacerować po pokoju nerwowo podciągając spodnie pidżamy.

– Kto tej idiotce dał pistolet? – spytał celując palcem w Mahoneya.

– Kobieta wyemancypowana – odpowiedział ten z gryźliwym szeptem poprawiając okulary.

– Dureń – Reyburn podszedł do okna. – Kto ich nakręca?

– Jej mąż. Gdybyś czytał uważniej, to znalazłbyś, że zapowiada krucjatę przeciwko takim pokazom jak nasze.

Unosząc się na palcach Reyburn raz jeszcze zerknął ku stojącej na trawniku gromadzie ludzi.

– Uważaj – powiedział Mahoney – Jak ktoś się uprze, to dorzuci stamtąd kamieniem.

Reyburn machnął lekceważąco dłonią.

– Przecież dopiero ta sprawa ściągnie nam publiczność.

Uśmiechnął się z własnego odkrycia, aż do chwili, gdy Mahoney wyjął z kieszeni kilka telegramów.

– „Clarence Hall” zrywa z nami umowę już od dzisiaj – uniósł głowę – Swoją drogą nie dziwię się, mają podobno wybite wszystkie okna.

Upuścił świstek na podłogę.

– To są telegramy z Manchesteru, Leeds, Birmingham... Wszędzie rezygnują z naszego udziału – zgniółł papiery – Małżonek pani Webb działa błyskawicznie.

Reyburn ciężko dysząc stał oparty o stół. Uniósł wzrok.

– Czy Hovell jest jeszcze w biurze?

Mahoney zerknął na stojący przy łóżku budzik.

– Powinien być...

Reyburn wyprostował się, rozpinając jeden za drugim guziki pidżamy.

– Dzwon i umów nas zaraz – stwierdził i dodał z naciskiem – Zaraz! Jeśli nie przejdziemy do kontruderzenia, to będziemy leżeć.

Mahoney tytnął okiem, jakby z odcieniem ironii, potem ruszył do drzwi. Ludzie wciąż skandowali.

★

Reyburn zdenerwowany podszedł do okna. Przez chwilę spoglądał na ulicę, później odwrócił się i oparł o parapet.

- Do cholery, jesteś moim adwokatem, czy nie? Chyba nie po to przez te wszystkie lata pompowałem w ciebie ciężkie pieniądze, żebyś teraz rozkładał ręce i zasłaniał się paragrafami.

- Dajcie spokój - wtrącił Mahoney - W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Jedno jest jasne, musimy wytoczyć proces zanim oni wytoczą go nam.

- Żeby wygrać proces o zniesławienie przeciwko prasie, muszę dysponować jakimś dowodem. Choć cieniem dowodu potwierdzającym wasze umiejętności. A nie mam nic! - Hovell po raz kolejny spojrzął na leżącą przed nim plik gazet.

- Słuchaj - zwrócił się do Reyburna - Czy ty rzeczywiście masz dyplom wiedeńskiego uniwersytetu?

- Tak.

- Chociaż to dobrze. Doktoryzowałeś się z psychologii?

- Nie. Z mechanizacji rolnictwa. Hovell załamał ręce.

- No to czego ty chcesz, człowieku?! Sam się im podkładasz.

Reyburn wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie masz żadnego pomysłu? - spytał Mahoney.

Adwokat spojrzął w jego kierunku.

- Można by przeprowadzić pokazową próbę hipnozy przed komisją naukową, ale...

- To odpada - mruknął Reyburn.

- Dlaczego?

- Nigdy nie mówiliśmy ci jak to robimy?

- Nie. Kantujecie?

Reyburn uśmiechnął się lekko.

- Można to tak nazwać. Po prostu Mahoney wybiera wśród widzów podatną osobę i wyprowadza na scenę. Ja ją hipnotyzuję, a kiedy już śpi, niby dla lepszej koncentracji wyciągam ręce tak, żeby mój zegarek znalazł się blisko jej ucha. Do bransolety przymocowana jest mała słuchawka połączona z magnetofonem schowanym w kieszeni. Hipnotyzowana osoba

słyszy głos, który każe jej powtarzać za sobą wiadomości nagrane na taśmie. Cała impreza kończy się sugestią, żeby zapomnieć wszystko oprócz usłyszanego życiorysu. Wtedy rozpoczynam normalne budzenie.

- Jak to? Widzowie powtarzają tak po prostu wymyślony i nagrany przez ciebie życiorys jako własny?

- Tak.

- To dlaczego każeś im mówić historie tak straszne, że lady Webb musiała popełnić samobójstwo?

- A co, mam im serwować życiorys bogobojnego urzędnika z City? Opowieści muszą zawierać jakieś morderstwa, bezeceństwa, czy defraudacje, inaczej nikt nie przyjdzie na moje seanse.

- W takim razie dlaczego nie każeś zapomnieć wszystkiego co mówili? Nie doszłoby do takiej tragedii.

- A wiesz jak po przebudzeniu reaguje kobieta pamiętając, że w poprzednim wcieleniu roztrwonila miliardową fortunę? Albo mężczyzna na wieść, że był prostytutką? To jest sedno mojego programu! To przede wszystkim lubią widzowie i tego żądają ludzie, którzy wychodząc po seansie kupują od razu bilet na następny!

Hovell osunął się z fotela. Sięgnął po papierosa lecz rozmyślił się i odrzucił paczkę z powrotem na biurko.

- Mniejsza z tym - powiedział cicho - Trochę za późno na wyrzuty...

- Właśnie - wpadł mu w słowo Reyburn - Jesteś moim adwokatem i wymyśl coś.

Tym razem Hovell wzruszył ramionami.

- Skoro nie możemy przeprowadzić próby na osobie trzeciej będziesz musiał w sądzie zrobić ją na samym sobie.

- I co to da?

- Po cichu wynajmę ludzi, którzy dyskretnie poszperają w archiwach i może znajdą jakiś prawdziwy życiorys, który będziesz mógł opowiedzieć jako własny z „poprzedniego życia”. Sąd sprawdzi fakty i może chociaż określić sprawę jako nierozstrzygniętą. Pamiętajcie, że w grę wchodzi stworzenie precedensu i sąd będzie postępował niezwykle ostrożnie.

- Zupełnie bez sensu - Reyburn na powrót odwrócił się do okna, jakby w zamie-



rającym o tej porze ruchu ulicznym chciał znaleźć natchnienie – Wymyśl coś lepszego.

– Dlaczego? – Mahoney odłożył pomięty dziennik, który przeglądał od dłuższej chwili – Ten pomysł nie jest taki zły..

– Masz coś konkretnego, czy wiesz gdzie szukać? – spytał Hovell.

– Mam życiorys dla Reyburna. Pasuje do tej sprawy idealnie.

– Słuchamy.

– Otóż mój ojciec był księdzem w Irlandii Północnej...

– Zaraz – przerwał mu Hovell – Jak to był księdzem? Przecież oni się nie żenią.

Mahoney uśmiechnął się szeroko.

– Powinienem powiedzieć: za młodu był księdzem. Potem poznał pewną dziewczynę i porzucił sutannę dla rozkoszy doczesnych. Razem z nią przyjechali do Anglii i wzięli ślub. Ale to nieważne. Jeszcze jak był w Irlandii zgłosił się do niego chory mężczyzna i opowiedział historię swojego życia. Wkrótce potem zresztą umarł.

– To była spowiedź?

– Tak.

– I ojciec opowiedział historię tobie? A obowiązująca go tajemnica?

Mahoney skrzywił się zniecierpliwiony.

– Po pierwsze facet już nie żył, a po drugie w chwili kiedy ją słyszałem stary od dawna nie był praktykującym katolikiem. W każdym razie dowiedziałem się, że chorym człowiekiem był Donald O'Connor, który poprzez spowiedź pragnął pozbyć się dręczących go wyrzutów sumienia. Oczywiście było to nazwisko przybrane, umożliwiające mu ukrywanie się na terenie Irlandii. Naprawdę nazywał się Howard Commonford...

– Zaraz, zaraz – Hovell pocierał czoło – coś mi świta...

– Właśnie. Swego czasu, przed wojną sprawa była bardzo głośna. W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym Commonford wynajął się do pracy w majątku Mc Williamsów koło Eaglegham niedaleko Glasgow. To była zubożała rodzina szlachecka, mająca tak mało ziemi, że wystarczało dwóch robotników, żeby o nią zadbać. Za to w domu roilo się od sreber, a nawet było trochę złota. Drugi z najętych ludzi, Blunt...

– Przypomniałem sobie! – krzyknął Hovell – Czytałem o tym kiedyś. Zdaje się, że tych dwóch wymordowało wówczas wszystkich członków rodziny, mam rację?

– Dokładnie. Blunt pewnego dnia upił Commonforda i namówił do okradzenia Mc Williamsów. Zostali jednak nakryci, więc za pomocą wideł i siekiery załatwili całą rodzinę. W trakcie ucieczki ukryli narzędzia zbrodni i postanowili się rozdzielić. Dokładnie nie wiem jak to było, ale przy podziale łupu doszło do sprzeczki, a później bójki, w której z kolei zginął Blunt. Commonford ukrył jego ciało, ale przerażony tym, co zrobił zakopał łup i zwiął do Irlandii, gdzie po latach, dręczony jak widać wyrzutami sumienia i śmiertelną chorobą wyznał wszystko ojcu.

Hovell pochylał się w fotelu.

– Czy znasz miejsca, gdzie ukryto narzędzia zbrodni, ciało Blunta i te skradzione rzeczy?

– Nigdy tam nie byłem, ale Commonford opisał to tak dokładnie, że na pewno można będzie wszystko odnaleźć.

– Jak to? – Reyburn podszedł do Mahoneya – Znałeś położenie skarbu i dotąd go nie wykopałeś?

– No wiesz... – Mahoney zrobił obrażoną minę – Poza tym znam tylko miejsce, a nie punkt gdzie trzeba kopać. Do odnalezienia łupu nie wystarczyłaby nawet brygada policji.

– Nie martwcie się tym – powiedział Hovell – Sąd na pewno znajdzie potrzebną ilość ludzi.

– Rzeczywiście chcesz to wykorzystać?

– Jasne. Najpierw oskarżymy prasę o zniesławienie i wniesiemy o ogromne odszkodowania. Na procesie będziesz udawał, że wchodzisz w trans i opowiesz historię Mahoneya. Sąd odnajdzie dowody i będzie musiał uznać, że w poprzednim wcieleniu rzeczywiście byłeś Commonfordem, a więc twoja metoda jest rzetelna. Potem możemy zaskarżyć wszystkich związanych z tobą dyrektorów teatrów o niedotrzymanie kontraktów.

Reyburn zamyślił się.

– Może faktycznie to jedyne wyjście – powiedział po chwili. – Poza tym rozgłos jaki przyniesie wygrany proces ściągnie

znacznie więcej ludzi na moje przedstawienia. W sumie więc dalsze dochody powinny rosnać.

- Co tam dalsze dochody - Hovell poderał się na równe nogi - Będziemy potwornie bogaci dużo wcześniej. Zapewniam cię, że od tych wszystkich szkalujących nas brukowców wyciągnę fortunę!

★

- Sąd świadomy precedensowego znaczenia sprawy rozpatrywał ją szczególnie wnikliwie, badając dokładnie każdy jej aspekt i analizując dogłębnie każdą możliwość.

Stojący obok Hovella Reyburn nerwowo zaciskał i rozprostowywał drżące palce.

- Toteż z całą odpowiedzialnością możemy stwierdzić, że dowody przedstawione przez stronę pozywającą są bezsporne, a John Cornelius Reyburn i Howard Commonford to jedna i ta sama osoba. Co za tym idzie określamy metodę doktora Reyburna jako naukową i prawdziwą oraz uwalniamy go od wszelkiej odpowiedzialności za czyn lady Webb. Sąd Jego Królewskiej Mości uznaje niniejszym wszystkie wymienione w akcie oskarżenia dzienniki za winne przestępstwa określonego w kodeksie karnym jako zniesławienie i skazuje je na wypłacenie pełnych odszkodowań w wysokości zażądanej przez stronę pozywającą.

- Udało się... udało - wyszeptał Reyburn ledwie panując nad rozedrganymi rękami.

- Mówiłem - że tak będzie - Hovell zerknął na dziennikarzy z porannych gazet, w pośpiechu opuszczających salę, by zająć miejsca przy telefonie.

Publiczność na sali z trudem doczekała aż wyjdą sędziowie. Hałas i rozgardiasz, jaki zapanował wkrótce potem, wykorzystali żurnaliści z czołowych tygodników, którzy nie naciskani przez czas obskoczyli Reyburna domagając się ściślejszych informacji. Mahoney z trudem powstrzymywał napierający tłum. Mały człowiek wychylił głowę spod jego ramienia.

- Wiemy, że panowie w trójkę założyli spółkę akcyjną, czy macie już sprecyzowany sposób wykorzystania zdobytej fortuny?

- Czy pan Reyburn wznowi swoje wy-

stępy, czy też zajmie się pracą naukową na ten temat?! - krzyknął ktoś z tyłu - Chciałbym jeszcze wiedzieć, czy spodziewaliście się panowie takiego wyroku?

Hovell rozłożył ręce.

- Proszę państwa, proszę o chwilę spokoju. Doktor Reyburn jest w tej chwili bardzo zmęczony... Jeszcze nie skończyłem - dodał w odpowiedzi na chór rozczarowanych głosów - Zapraszam wszystkich dzisiaj wieczorem na drinka do naszego hotelu. Zapewniam, że otrzymacie tam wszystkie interesujące was informacje...

- Ale przyjdziemy tylko my, bez chłopców z dzienników? - mały człowieczek uniósł w górę palec.

- Oczywiście, domyślacie się, że nie mamy powodów, aby darzyć prasę codzienną zbytnią sympatią.

Kilku dziennikarzy roześmiało się.

- Idziemy - Hovell ruchem ręki pożegnał zebranych i z trudem torując drogę wyprowadził swoich podopiecznych na zewnątrz.

Mahoney skinął na taksówkę, lecz zamiast jej pojawiło się dwóch mężczyzn w wyszarzających prochowcach.

- Czy pan John C. Reyburn?

- Tak.

- Zgadza się, ale nie udzielamy wywiadów - wtrącił się Hovell.

- Nie jesteśmy dziennikarzami - jeden z mężczyzn pokazał mu policyjną legitymację. - Panie Reyburn, jest pan aresztowany...

- Za co?!

- ...pod zarzutem morderstwa dokonanego na rodzinie Mc Williamsów w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym.

- Panie, to jakiś żart. Przecież wtedy nie było mnie jeszcze na świecie!

- Tak pan sądzi? - wyższy policjant sprawnie założył mu kajdanki - Kilka minut temu sąd uznał, że jest pan Howar-dem Commonfordem.

- Ale...

- Peter, poinformuj pana o jego prawach.

Reyburn przerażony rozglądał się po otaczających go twarzach. Tylko dwie nie wyrażały żadnego zdziwienia. Hovell spoglądał na swoje buty, a na ustach Mahoneya błąkał się nikły uśmieszek...